ROZMAITOŚCI.

Dnia 28. września, Nr 39. roku 1844.

ZAWIŚĆ I ZEMSTA.

Piękne południowe niebo jaśniało najroskoszniejszym blaskiem; łagodne i rozmaitym przepychem barw rozmożne lato uwdzięczało roku 1458. błogą ziemię włoską. W skromnym ale pięknie położonym wiejskim domku koło Florencyi wychylił się z okna jakiś ponury człowiek i patrzył w dal przed siebie na powiewną igraszkę liści i gałązek. Pogrążony w głębokiej zadumie odbijał on jak czarny cień na tle wesołéj, letniéj krainy, i zdawał się być tém oburzony, że mu natura tak dziecinno uprzejmie w pochmurne uśmiéchała się oczy. U jego boku stała niebiańskiéj postaci dziewica, mająca może lat szesnaście. Byłoto ziemskie bóstwo piękności. Rzekłbyś, że natura chciała w niéj wszystkie swoje najrozmaitsze wdzięki jakby w jednem zebrać ognisku, że chciała wszelkie swoje bogactwo uroku i przymilenia w jednem zamknąć słowie, a tém miłobrzmiącem słowem było: »Wincencyja.«

»Nie oddawaj się, mój ojcze, tym nieustannym ponurym myślom,« rzekła Wincencyja po chwili daremnego oczekiwania, azali sam się z swoich niemiłych marzeń nie przebudzi. A mówiąc to położyła pochlebnie swą pieściwą rękę na głowę ojca, już szronem bielejącą.

Starzec ocknął się i rzekł: »Słusznie mówisz córko! Jestto nierozsądkiem, gniewać się codziennie z tego samego powodu, nie mogąc w niczém rzeczy naprawić.«

»I zkądże ta zwykła ponurość twoja, kochany ojcze? Wszak jesteś zdrowym i silnym; niebo obdarzyło cię hojnie tém wszystkiém, co człowieka szczęśliwym uczynić może, a wreszcie —« dodała z żartobliwym uśmiechem, »masz także miłą córkę, którą sam czasami ozdobą Florencyi nazywasz.«

»Moje dziécię, sam to niekiedy sobie zarzucam, iż jestem niewdzięcznym za dary nieba,« odpowiedział ułagodzony ojciec czulszym nieco głosem i wzrokiem. »Chociaż trudno przewidzićć, czy posiadanie pięknéj, ukochanéj córki nie sprawi kiedyś więcéj smutku, niż istotnego szczęścia? Mogęż wiedzieć jak długo Wincencyja jeszcze przy swoim ojcu zostanie, jak długo on dla niéj jedynym przedmiotem będzie, i czy go kiedyś innéj nie poświęci miłości?«

»Ojcze!« rzekła Wincencyja z tkliwym zarzutem, a cień dziecinnéj niechęci, który po jéj twarzy przemknął, dodał jéj prawie jeszcze więcéj powabu, niż wyraz zwyczajnéj wesołości.

»No, tylko się nie gniewaj moja córko!« uśmiéchnął się starzec i uściskał ją serdecznie. »My wiémy już oboje, co mamy myśléć o sobie. Jestto moim zwyczajem; muszę się koniecznie raz na dzień podąsać. Jestto chwila, która mi, że tak rzekę, do umysłowéj strawności dopomaga. O, moje dziécię, mam ja przyczynę być nieukontentowanym. Jeszcze żadne życzenie moje nie spełniło mi się na świecie. To nawet, czego mi szczęście udzieliło, było zawsze poza obrębem moich życzeń. Tak, tak, śmiéj się tylko, ty sama swawolnico, należysz do tych nieproszonych darów szczęścia; nigdy bowiem nie życzyłem sobie mieć dzieci. Ale chciałem cokolwiek nabyć sławy, głośnego imienia; a to jakby robak, toczy serce moje, żem sobie innego nie wyjednał imienia, prócz tego, jakie mi na chrzcie dano. Wiesz dobrze, żem niegdyś dość był biegły w sztuce malarskiéj, a zaprawdę, i

teraz jeszcze, mam się za najlepszego znawcę obrazów w całéj Florencyi. Lecz to mię właśnie gniewa, że można być wielkim znawcą nie będąc celującym malarzem, że przy wszelkiéj usilności mojéj, nie zdołałem utworzyć coś lepszego....«

»Jesteś sam dla siebie niesprawiedliwym kochany ojcze! Twoje obrazy nie były bez zalety. A jeżeli ci się nie powiodło zostać sławnym malarzem, toś przecież w innéj szlachetnéj umiejętności, w tajemniczéj chemii, do wysokiego doprowadził stopnia.«

»Wielka prawda,« rzekł starzec gorzko się zaśmiawszy. »Doprowadziłem właśnie aż do trucizny! O, ja za każdą razą, gdy tylko co rozpocząłem, dobréj sobie zawsze nawarzyłem trucizny! Otóż i w chemii także stanąłem na tém pięknem odkryciu. Wynalazłem truciznę, którąby mię może sławnym uczyniła, gdyby mi się ta sława zbyt dwuznaczną nie wydawała. Oto patrz, widzisz tu szlachetne dzieło mojéj najusilniejszéj pracy.«

To mówiąc otworzył szafę w któréj stały dwie starannie opieczętowane flasze, i wskazał na jednę z obu. »Jestto trawiąca jak ogień trucizna — możnaby nią wiele dokazać.«

Wincencyja spojrzała trwożnie i zawołała: »Aż dwie tak duże flasze, mój ojcze?«

»Uspokój się moje dziécię. Niesłuszną masz odrazę ku téj drugiéj flaszy. W niéj mieszka owszem zbawcza, uzdrawiająca siła, która zgubny skutek tamtéj flaszy przemaga i niszczy. Byłbyto zaiste zły strzelec, któryby nie miał także uzdrawiającego balsamu na doręczu, jeżliby jakim nieszczęsnym przypadkiem własna broń zranić go miała. Łącząc z zaciętą gorliwością dwa żywioły z sobą, których połączenie stało się zbójczym spiskiem przeciwko życiu, wymyśliłem oraz i talisman, który w czas użyty, może rozerwać ich zgubne przymierze, może zabójczy płyn przytłumić i szkodliwéj siły pozbawić — wymyśliłem antidotum, to jest: napój przeciw truciznie.«

»A dla czegoż nie wolisz raczéj obie razem zniszczyć, kochany ojcze?« zapytała Wincencyja z trwogą.

»Mogą nadejść niedobre, nieprzewidziane wypadki, moje dziécię! Nierozsądnie ten działa kto za czasów pokoju wszelki oręż odrzuca a potém bezbronnie odnowiony bój rozpoczyna! Niechaj sobie ci obaj nieprzyjaźni bracia spokojnie tu spoczywają; nikt ich bez potrzeby nie przebudzi. Jeźli zaś ostateczne niebezpieczeństwo nam zagrozi, natenczas udamy się pod obronę jednego, aby, gdy on za daleko swoję moc posunie, drugi go powściągnął i pokonał. Doświadczyłem już obu na samym sobie.«

»Przez miłość Boga! Mój ojcze! I tyżbyś —«

»Byłato lekkomyślność zapaleńca. Sprzykrzywszy sobie życie jak je i dziś nie bardzo kocham, sądziłem, iż będąc młodym, mam prawo usunąć się z tego świata. Jedna kropla mojéj trucizny była dostateczną do pozbawienia mię wszelkich mąk i zgryzot na przyszłość. Zaledwiem zażył, a jużem uczuł jéj gwałtowną siłę w mych żyłach, jużem uczuł w kolejném przetężeniu i omdléwaniu mych nerwów, straszne powitanie śmierci; ale w téjże saméj chwili przejął mię oraz jakiś dziki, jakiś niewymowny żal, zjęła mię jakaś niezbędna tęsknota za życiem. Chwiejącym krokiem postąpiłem do drugiéj flaszy, a chociażem już sam jéj pomoc za niewczesną osądził, przecież sprobowałem mego antidotum, i zażyłem kilka kropel. Z niewysłowioną wściekłością zatrzęsła mną całym walka obu nieprzyjacielskich żywiołów, rzuciła mną o ziemię i odebrała mi przytomność. Po chwili jednak uspokoiło się bolesne wichrzenie w mém wnętrzu; napój uleczający, ów niezmordowany obrońca życia, zwyciężył, obudziłem się, wyzdrowiałem i żyję.«

»Byłato okropna chwila w twém życiu ojcze!« rzekła drżąca z przestrachu Wincencyja. Poczém dodała z trwogą: »Ach, ta sprzéczka i dziś jeszcze w tobie nie zamarła, jad i zdrowie dziś jeszcze wiodą spór w twojéj duszy i twojem sercu, i dziś jeszcze walczy tam nienawiść z dobrocią, a gniew z miłością pojednania!«

»Przestań Wincencyjo! Stary Buti stoi już blisko kresu swojéj wędrówki, a dla téj odrobiny drogi, która mu jeszcze pozostaje, nie będzie już zmieniał kroku. Lecz odejdź od okna, moje kochane dziécię.

Widzę tam nadchodzący orszak owych rozpustnych wartogłowów, których każda dziewica unikać powinna. Jeźli się nie mylę, tedy jest tam i Lippi pomiędzy nimi. Szkoda tego uzdolnionego młodziana! W jego piersi zamieszkał jenijusz umniczy, jestto malarz, jakiego może nieznajdziesz drugiego w naszym wieku. Trzeba abyś była widziała jego ostatni obraz: zwiastowanie najświętszéj panny. Sam nasz wielki znawca i protektor Cosmo Medici zachwycał się tém malowidłem i kupił je za bardzo wysoką cenę. Tak jest, Cosmo wielce go szacuje, a gdyby ten młodzian umiał lepiéj korzystać ze swego szczęścia, mógłby dojść wielkiéj sławy i wielkich zaszczytów. Ale to dziki roztrzepaniec, bez zamiłowania pracy, rozpustne tylko życie lubiący. Chociaż zresztą jest niezłym chłopcem, który mi się dla swoich rzadkick zdolności bardzo podoba. Napotykam go często w książęcéj galeryi obrazów i rozmawiam z nim chętnie, gdyż ma niepospolity rozum, jeźli już nie do codziennego życia, to przynajmniéj do sztuki, któréj ja, lubo przez nią wzgardzony, nigdy przecież gorąco czcić nie przestanę! Lecz cicho, przechodzą właśnie koło naszego domu. Ustąp cokolwiek Wincencyjo, póki się nie oddalą!«

Jakoż w istocie ukazało się teraz ochocze grono młodzieży pod oknami domu malarza. Lippi, piękny, smukły młodzieniec, dobrodusznego, wesołego wyrazu twarzy, postrzegł starca przy oknie i zasłał mu uprzejme powitanie.

»Jakże się miewasz, mój młody przyjacielu?« zapytał Buti, wychylając się z okna. »Maszże tam co nowego i pięknego pod penzlem?«

»I owszem, panie Buti, pracuję nad nowym przedmiotem;« odrzekł Lippi zatrzymując się pod oknem. »Sądzę, iżby się wam podobał. Idę właśnie do domu. Gdybyście chcieli udać się ze mną, moglibyście obaczyć pracę moję. Radbym bardzo w jednéj rzeczy, któréj sobie sam dobrze wyjaśnić nie mogę, zasięgnąć waszéj rozsądnéj rady, bo, o ile miałem sposobność poznania was panie Buti, cenię szczérze wasz wyrok umiejętny.«

»Czy w saméj istocie?« odrzekł stary malarz, widocznie ucieszony témi pochlebnémi słowy. »Jeźli pozwolisz, chętnie cię odprowadzę. Zatrzymaj się na chwilę, a jestem zaraz gotów na twe usługi.«

Zamknął okno, wziął kapelusz i laskę, ucałował Wincencyję w czoło i zeszedł na dół spieszno do młodzieńca, który go uprzejmie ujął pod ramię i żywo z nim rozprawiając, oddalił się ku swemu domowi.

Wkrótce zatrzymali się obaj w pracowni młodego malarza, który swojego gościa zaprowadził przed swój najnowszy, jeszcze nieukończony obraz. Przedstawiał on znajomy, często już przez malarzów obrabiany przedmiot, to jest: powstającą z morza Afrodytę. Po umieszczeniu obrazu w odpowiedniém świetle, stanął Buti z założonémi rękami przed malowidłem i przypatrywał mu się długo z uwagą. Jego zwyczajne ponure rysy nabiérały coraz żywszego i milszego wyrazu; nareszcie skinieniem głowy zaczął dawać oznakę swego zadowolenia.

»Cóż ci mój młody przyjacielu mogę o tym obrazie powiedzieć?« rzekł po długiéj chwili milczenia. »Moja stara, uparta głowa nie lada czémeś zachwycić się może, a moje ociężałe usta nie są łatwe do pochwał. A przecież powiém ci, że twój obraz dobry, bardzo dobry; jest on nawet tyle doskonały, że ci sławę, co więcéj nieśmiertelność zjednać może. Utorowałeś sztuce nową drogę, podawałeś swoim figurom większą jak zwyczaj proporcyję, a wierzaj mi, że ta twoja nowa metoda otrzyma powszechne panowanie i będzie naśladowaną przez największych malarzy późniejszych czasów. Nawet w gęstych przegubach twojéj draperyi znajduje się jakiś urok, który ty sam tylko nadać umiész, a światło twojego kolorytu, chociaż jasne, przecież łagodne, i w nader miłą, tajemniczą fijoletową barwę niknące, działa niewymownie miło na oko i duszę.»

»Te wasze z zapałem wyrzeczone słowa, panie Buti!« zawołał młodzieniec z radością, »są dla mnie najmilszą pochwałą mojego dzieła. Ale czyż nie postrzegacie w niém jakiéj wady?«

»I owszem, postrzegam jednę i bardzo

nieprzyjemną; bo muszę ci szczérze wyznać Lippi, że oblicze powstającéj z piany bogini, jest za wiele powszednie, ciężko cielesne, nieuniebione.«

Ku zdziwieniu starego znawcy, rzucił mu się malarz z gwałtowném uczuciem na szyję.

»Cóżto?« zapytał starzec. »Czyż cię moja nagana bardziéj uciesza niżli moja pochwała?«

»Prawie że tak jest w saméj istocie,« odparł Lippi z zapałem. Cieszy mię wasza nagana, ponieważ dopiéro przez nią mogę się cieszyć wyrzeczonémi wprzód pochwałami. Bez téj nagany, byłbym musiał był zwątpić albo o waszéj szczérości albo o waszém zdaniu; bo, aby wam otwarcie wyznać, oblicze téj Afrodyty do rozpaczy mię przywodzi. Przerabiałem je kilkakrotnie, a zawsze tylko nato, aby je znowu [illegible] Najpi[illegible] kobiece głowy [illegible] do mojego [illegible] [illegible]adała mojemu [illegible] morza, i [illegible] [illegible]wnej porze [illegible]vo- [illegible] [illegible] bogini, wymaga doskonałej piękności przy niedokonaném przecież jeszcze dojrzeniu, jedném słowem, wymaga wyrazu niebiańskiej piękności, którą u ziemskich wzorów zawsze tylko albo powyżéj albo poniżéj téj delikatnej granicy znaleźć można, wymaga piękności, jakiéj podobno niema na téj ziemi, i jakiéj sobie wyobrazić nie możemy. O, radźcież, pomóżcie mi, jeźli moim przyjacielem jesteście, jeźli wam sztuka jest drogą!«

Jakaś nagła myśl uderzyła zadumanego starca. Chciał przemówić, ale się wstrzymał; stłumił słowo, które mu się z ust dobywało i milczał widocznie zmieszany.

»O, jeźli macie jaką myśl szczęśliwą, nie kryjcie jéj przedemną!« zawołał Lippi proszącym głosem. »Jakąś czarodziejską mocą przywiązałem się do tego obrazu. Zdaje mi się, a nawet jestem przekonanym, że to będzie najdoskonalszy z moich wszystkich obrazów, że sławę moję ustali i zapewni nieśmiertelność memu imieniu. Jeźli mi dopomożecie, tedy część mojéj zasługi i na was spadnie, przejdziemy obaj jako bracia ręka w rękę, do świątyni potomnéj sławy!«

Podczas téj mowy odbywała się w piersi starego malarza widoczna walka. Błaganie młodzieńca powiększało jeszcze bardziéj to wrażenie, jakie obraz już był na nim zrobił, a ostatnie słowa młodzieńca, obiecujące udział w wynikającéj ztąd sławie, rozpłomieniły w nim zawsze czuwającą ambicyję, i przyczyniły się stanowczo do utwierdzenia go w przedsięwzięciu.

»Posłuchaj mię młodzieńcze,« ozwał się głosem, w którym dobroć z podejrzliwością w dziwny sposób złączone były. »Lubię cię; ale jesteś mi pustym, nieukróconym wartogłową; swojém swawolném życiem odstręczysz sobie nawet swego dostojnego protektora, księcia Cosmo, a szczérze mówiąc, nié mam wiele nadziei, abyś się kiedy poprawił. Ale zależy mi wiele na twoim obrazie i radbym się chętnie przyczynił, aby mógł być doskonale skończonym. Ja mam córkę. Nietylko jako ojciec, lecz także jako znawca piękności mogę śmiało powiedzieć, że jest najpiękniejszym kwiatem w Florencyi a może w całych Włoszech. Wychowałem ją w surowéj obyczajności i w ścisłém odosobnieniu; żaden niewstydliwy wzrok mężczyzny nie przedarł się jeszcze do jéj ustronia, bo tylko najszlachetniejszy naszego rodzaju mógłby godnym być, nazwać ją swą małżonką, a jeźli, jak prawie mniemam, żadnego nieznajdę, natenczas zaślubię ją niebu, gdyż dla ziemi jest ona zanadto dobra i piękna. Jeźli mi więc przyrzekniesz, że przez ten czas, jak długo zabawisz w moim domu, będziesz zachowywał najsurowszą obyczajność i najściślejszą skromność, więc pozwolę, aby moja Wincencyja siedziała ci za wzór do obrazu twéj Afrodyty. Ona jedna mogłaby odpowiedzieć téj idei, jaką chcesz wyrazić w obliczu swéj bogini. Lecz gdyby się okazało, że i Wincencyja nie posłużyłaby do twego zamiaru, natenczas zniszcz biédny malarzu twe malowidło, bo już nie będziesz nigdy w stanie wykończyć je doskonale.«

»Mój drogi przyjacielu, nową ożywiasz mię odwagą!« zawołał Lippi z uniesieniem.

»Przysięgam ci dopełnić wiernie warunku. Wierzaj mi, nie jestem ja tak złym, jak o mnie sadzisz. Jestem może nierozważnym i uciechom świata oddanym, ale, o ile znam sam siebie, serce moje złém nie jest.«

»Dobrze — dobrze —« odparł Buti krótko. »Przyrzekłeś dotrzymać wiernie warunku; a to jest wszystko, czego po tobie wymagam; twoje poprzednie życie nie obchodzi mię wcale; zdawaj sprawę z niego przed sobą samym. Jeźli moja rada po twojéj myśli, więc przyjdź jutro rano do mego domu. Przynieś obraz z sobą, a twój model będzie gotów za wzór ci służyć.«

»Uszczęśliwiasz mię dobrocią swoją; bądź pewien mojéj najczulszéj wdzięczności!« powtarzał ucieszony młodzieniec.

»Nie wymagam więcéj, jak tylko abyś niebył niewdzięcznym. Na wdzięczność twoję nie liczę,« odrzekł Buti z właściwą sobie obojętnością i pożegnawszy malarza wyszedł spiesznie.

Gdy powrócił do domu, Wincencyja wybiegła naprzeciw niemu. Zaprowadził ją z sobą do swojego pokoju i opowiedział jéj wszystko, co przyrzekł młodemu malarzowi, łubo się pilnie wystrzégał rozwodzić nad powodami, które ku temu go skłoniły, aby nie wzbudził próżności w jéj tkliwém sercu. »Wiele w tym względzie mam ufności w tobie, kochana córko,« — témi słowy zakończył swoje opowiadanie. »Jakkolwiek bowiem nieba rzadkim jenijuszem obdarzyły umysł Lippiego, jest on przecież powszedni tylko i zmysłowy człowiek, przywiązany do ziemskich uciech i znikomych roskoszy świata. Jego talent nie ma prawie żadnego związku z resztą jego istoty; ten wolny, niezawisły, niczém nieujarzmiony duch, obrał sobie jakby na przekorę tę pustą pierś młodzieńczą za mieszkanie, i uczynił ją narzędziem swéj twórczéj woli, nie sądząc ją wcale godną wyższego uszlachetnienia. Częstokroć się zdarza, iż pozioma tego człowieka natura krępuje tego obcego wzlotnego ducha który w nim zamieszkał, lub że się ten duch jak krnąbrny niewolnik sili wyłomać zpod jego uciemiężającéj władzy. Wystaw sobie Wincencyjo, jakiéj się pustoty ten szaleniec jednego razu dopuścił! Cosmo zachwycony zarysem jego ostatniego obrazu, życzył sobie spiesznego dokończenia téj pracy, aby ją jak najprędzéj mógł ustawić w swojéj w nowy sposób urządzonéj galeryi. Ale Lippi był zanadto zajęty swoimi wesołymi towarzyszami, aby się chciał pilnie oddać swemu powołaniu. Gdy więc przyrzeczony czas już dawno był upłynął, kazał go Cosmo, nie tyle za karę, jak dla zmuszenia do pracy, zamknąć w jego pokoju. Ale trawiąca tęsknota za wspólnikami jego rozpusty, przemogła do tego stopnia w zapamiętałym młodzieńcu, iż porozcinawszy i powiązawszy prześcieradła, spuścił się po nich nie bez niebezpieczeństwa życia na dół ze swego okna. I takto on nieustannie szaleje i będzie szaleć tak długo, aż w nim niebiańska iskra nagle i przed czasem nie zgaśnie, a natenczas dopiéro spostrzeże z żalem zmarnowane lata i chybiony cel życia!«

Takiémi po części prawdziwémi, po części przesadzonémi wzmiankami o charakterze Lippiego starał się troskliwy ojciec zapobiédz wszelkiemu niebezpieczeństwu, jakieby widok młodego malarza na sercu jego córki mógł wywrzéć, i postrzegł ku swemu zaspokojeniu, że równie wyrzeczone przeciw nieznajomemu młodzieńcowi nagany, jak téż i oddana jego talentowi pochwała, najobojetniéj od Wincencyi przyjętémi zostały.

Następnego poranku służący Lippiego przyniósł malowidło do mieszkania malarza. Wincencyja była ciekawą widziéć ten obraz, do którego wydoskonalenia sama się przyczynić miała. Ojca jéj nie było właśnie pod tę chwilę w pokoju. Z wielką nięcierpliwością odchyliła zasłonę z malowidła i jęła mu się przypatrywać. Piękność niewieściéj postaci sprawiła na niéj jakieś dziwne wrażenie, a dziwniejsze jeszcze ta myśl: że z pomiędzy tylu pięknych kobiét, ona tylko jedna ma byc przeznaczoną do wywołania owego ideału, jakiego młody malarz dotąd wpośród reszty istot téj ziemi napróżno szukał. Uczuła w sobie jakąś nieznaną dotąd niespokojność, którę ledwie przed ojcem ukryć mogła, i starała się unikać ile możności widoku tego obrazu. Z niepojętą obawą czekała na przybycie młodego malarza.

Nie długo trwało, przyszedł Lippi. Wincencyja usłyszała jego stąpanie w przedpokoju, a to ścisnęło jéj piersi taką trwogą, że ledwie odetchnąć mogła. Gdyby była sobie tę trwogę wytłumaczyć umiała, i nie czuła jakiegoś ztąd wstydu, byłaby zapewne prosiła ojca na wszystko w świecie, aby ją uwolnił od włożonego obowiązku.

Wprowadzony przez ojca Lippi wszedł do pokoju. Był starannie ubrany, a jego smukła młodzieńcza postać wydawała się bardzo korzystnie w bogatym i smakownie urobionym stroju. Jego uprzejmo śmiałe oko patrzyło niewinnie i bez powiadomości swojéj władzy z szlachetnego, bujnym, czarnym włosem ocienionego oblicza. Skłonił się z uszanowaniem a prawie nieśmiało dziewicy, która zmieszana, nawzajem go powitała. Podług opisu swojego ojca miała ujrzéć pustego młodzieńca rozwią-

złych obyczajów i nieokrzesanego obejścia, a natomiast ujrzała go pełnym szlachetności, pokory, obyczajności i powagi. Nie uszło jéj baczności, że ile razy niepostrzeżonym się sądził, pokryjomo ale przenikliwie na nią spoziérał. Mimo to wszystko jednakże zdołał ukryć swe wewnętrzne wzruszenie i okazać spokojną obojętność.

Buti po przedstawieniu Lippiego swojéj córce, zwrócił się do młodzieńca. »Dałeś mi przyrzeczenie,« rzekł głosem porozumienia, »i spodziéwam się że go dotrzymasz jako człowiek honoru. Wiém, że nieproszona obecność tamuje i miesza twórczość umniczego jenijuszu, dla tego zostawiam cię samego z moją córką. Dotrzymaj słowa, a niebo niechaj sprzyja twojemu pięknemu dziełu.«

To rzekłszy wyszedł z pokoju a Wincencyja ujrzała się sam na sam z obcym młodzieńcem. Jéj niepojęte zmieszanie owładło ją teraz jeszcze mocniéj i czekała z niespokojnością, aby malarz nadał jéj stosowną postawę. Ale i on stał jakiś czas nieruchomy, jakby w głębokich myślach pogrążony. Nagle opamiętał się, westchnął z całéj piersi, oznaczył jéj w milczeniu odpowiednią postawę, i biorąc penzel i paletę do ręki, stanął przed malowidłem. Umieszał jakby nieprzytomny farby, wziął się patrząc na Wincencyję do malowania, posunął z coraz większém drzeniem kilka razy penzlem po płótnie, spojrzał znowu na pomieszaną Wincencyję i padł nagle z przeraźliwym jękiem na ziemię.

Wincencyja chciała krzyknąć o pomoc, ale głos jéj zamarł na ustach. Chwiejącym krokiem przystąpiła do omdlałego; położyła rękę na jego pałające czoło i zapytała drzącym głosem: »Na miłość Boga, Lippi, przyjdź do siebie! Cóż ci jest?«

Młodzieniec otworzył oczy i spojrzał niewysłowionym wyrazem na nią. Jéj ręka spoczywała jeszcze na jego czole; chciała ją teraz umknąć, lecz on zatrzymał uciekającą rękę i przycisnął ją jeszcze mocniéj do czoła. »Czyż możesz jeszcze pytać, co mi jest?« przemówił przytłumionym, drzącym głosem. »Pytaż strzelec ugodzonego jelenia, co mu jest, gdy go już zabił? Tyż możesz zabić i dziwić się temu?«

Wincencyja przestraszona spuściła oczy w ziemię i milczała.

»Tylko jedno słowo pociechy, Wincencyjo!« błagał młodzieniec ciszéj ale namiętniéj. »Jak Bóg nas widzi, nie mogę żyć bez ciebie. Nie wyjdę żywym z tego pokoju jeżeli mię odepchniesz.«

Głos jego stawał się coraz gwałtowniejszym. Przyciskał Wincencyję silnie do swoich piersi, a ona mu się nie opiérała.

»Czas nagli, Wincencyjo!« mówił z wzrastającym zapałem. »Miej litość! Powiédz, czy mogę cię widziéć dziś wieczór w ogrodzie twojego ojca? Przyjdziesz?«

Wincencyja nie mogła wymówić słowa, lecz nieprzytomnie prawie, ściskała rękę młodzieńca, a ten wziął to ściśnienie za przyzwalającą odpowiedź. Ujął ją w swoje objęcia; ona się nie broniła; natłok nowych, nigdy dotąd nieznanych uczuć, poraził ją otrętwieniem.

»A teraz bądź zdrowa, Wincencyjo!« zawołał uniesiony radością. »Więc cię obaczę? Nie prawdaż — obaczę wieczór?« To rzekłszy złożył pocałunek na jéj czole i wybiegł spieszno z pokoju.

Długo stała Wincencyja nieruchoma na miejscu z okiem w ziemię wlepioném, niezdolna zgarnąć zmysły, nie mająca nawet dość siły aby to chciéć uczynić. Przemożnym szturmem zdobyła namiętność to czyste serce. Nareszcie przesiliła się ta nagła burza a strumień łez zalał Wincencyi oblicze. To ją nieco uspokoiło. Po chwili wszedł ojciec, dziwując się niemało, że ujrzał córkę samą a obraz opuszczonym.

»Gdzież Lippi?« zapytał zdziwiony.

»Już się oddalił,« odpowiedziała dziewica obojętnie. »Słabo mu się zrobiło; i ja téż czuję jakąś niemoc w sobie, mój ojcze; pozwól abym się udała na spoczynek.« Odeszła do swego pokoiku; Buti powiódł za nią stroskaném okiem.

Gdy Buti nazajutrz rano wszedł do sypialni swéj córki dla dowiedzenia się o jéj zdrowiu, już jéj nie zastał. Złowrogie przeczucie obudziło się w jego piersi, a znaleziony na stole list, ręką córki do niego pisany, zamienił to przeczucie w istotną rzeczywistość. Z gorzkim uśmiéchem rozwinął starzec kartkę i czytał następujące wyrazy: »Mój ojcze! Nie przeklinaj mnie! Posłuchałam głosu mego przeznaczenia, które wszechwładnie zakierowało mojém sercem. Lecz nie stanę się nigdy niegodną ciebie, mój ojcze! Ujrzysz mię jako żonę Lippiego, która jak dawniéj, powróci do obowiązków posłusznéj i kochającéj córki. Wincencyja.«

Buti zgniótł odczytany papiér w silnie ściśnionéj ręce, zaciął w milczeniu usta, i gdyby jego dziko iskrzące się oko nie było zdradziło wewnętrznego wzruszenia, nie możnaby się nawet było domyśléć, jaka burza duszą jego miotała. Nie mówiąc ani słowa, zatopiony w głębokiém dumaniu, udał się do swojego pokoju, przystąpił do okna, przy którém Wincencyja jeszcze przed dwoma dniami tak poufnie z nim rozmawiała i patrzył długo w milczeniu i bez

czucia na piękny roztaczający się przed nim krajobraz. Nareszcie dobyły się z silnie wstrząśnionéj piersi pojedyncze urywane słowa. »Oszukany przyjacielu, zdradzony ojcze! Któż ci teraz pozostał, któż wytrwał przy tobie, aby twój gniew podzielać, aby cię do zemsty podniecać, aby cię wspiérać? — Nikt!«

Z wyrazem srogiej rozpaczy powiódł oczyma po pokoju; wzrok jego padł na szafę, a nagle rozjaśniło się jego gniewem i boleścią zachmurzone oblicze. — »Byłem niesprawiedliwy,« — ozwał się — »przebacz mi, stara ponura przyjaciółko w potrzebie!« — Otworzył szafę i spojrzał z dziką radością na pełną flaszę. — »Trucizna jest wierną!« szepnął tajemniczo. »Ona mię tą razą zastąpi, ona ujmie się mojéj krzywdy!«

Zamknął znowu szafę; oblicze jego było spokojne, — zachowanie się zwyczajne.

(Dokończenie nastąpi.)

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* pod redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł nr. 39. i obejmuje: 1) Alexandra hrabi Cetnera myśli o założeniu przez akcyje kolei żelaznéj w Galicyi. 2) Korrespondencyja z Pragi, tycząca się handlu masłem i szmalcem wieprzowym. 3) Wiadomości handlowe. (Z Odessy 14. września b. r.) 4) Targ wołowy we Lwowie od 16. do 23. t. m. 5) Ceny zboża w hurtowéj przedaży spadły nieco we Lwowie. 6) O nabyciu w Wiédniu rzemiosła rzeźniczego przez jednego z naszych obywateli.

Dziennika mód paryskich, pod redakcyją Tomasza Kulczyckiego, wyszedł nr. 20. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Uśmiech szyderczy, obraz fantastyczny przez Józefa Dzierzkowskiego. 2) Rozum i serce, wiérsz przez W. Ch. 3) Ulicznik paryzki, przez Juliusza Janina. (Dokończenie.) 4) Teatr.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* nr. 23. zawiera: Wspomnienia mojéj młodości, przez Kazimierza Brodzińskiego. c. d. — Poezyja: Wyspa czyli Chrystyjan i jego towarzysze, przekład z lorda Byrona, przez A. Zawadzkiego. c. d. — Wiadomość o rękopismach autora Pojaty, przez H. Sk. — Kronika piśmiennicza polska: Młodzież tegoczesna, przez K. Heincza. Figle ułanów, przez tegoż. Anakreontyki i komedyja: Nikodemek, przez Marcina Krasickiego. — Nowości.

Nowy wynalazek, który wszystkie machiny parowe ma zastąpić. Pewien młody Francuz, niemogąc znaleźć utrzymania w ojczyźnie, udał się do Anglii, aby tam swój pomysł uskutecznić. Wymyślona przez niego machina jest już gotowa, a najsławniejsi angielscy budownicy machin podziwiają jéj doskonałość. Jeden z tychże, niejaki Penn z Greenwich, który kilka parowych statków zbudował, spoglądał długo w milczeniu na tę machinę, która może chléb mu odbierze, a nareszcie rzekł: »Gdyby ona była moją własnością, zakopałbym ją głęboko w moim ogrodzie.« — Przy parowych machinach potrzeba wielkiéj ilości pary, to wymaga niezmiernie wiele paliwa, a wszystko razem czyni jazdę parową tak bardzo drogą. Zresztą są machiny parowe nadzwyczaj niebezpieczne, czego zaprzeć nie można. Nowy wynalazek używa gorącego powietrza zamiast pary; w takim razie nie potrzeba już kotła, nie potrzeba ani piątéj części paliwa, a co główną rzeczą, że niéma żadnego niebezpieczeństwa. Pierwsza gotowa i już działająca machina tego rodzaju znajduje się w pewnéj wielkiéj fabryce koło Londynu; niedługo potrwa, a obaczymy ją na Tamizie, na żelaznych kolejach, na oceanie.

Najogromniejszym dziennikiem w świecie jest dziennik angielski »*Times*« (Tajms — czas), który w roku z 1842. na 1843. w 6.305.000 egzemplarzach się rozchodził. Zazwyczaj zawiera każdy numer tego dziennika duży arkusz o 8 stronach, na każdéj stronie po 6 przedziałek, w każdéj przedziałce mniéjwięcéj 200 wiérszów, a zatém w całym numerze 9600 wiérszów. Każdy numer dziennika »*Times*« obejmuje w przecięciu 3 1/2 saskich łokci, przeco wszystkie w jednym roku wyszłe numera składają przestrzeń 22 millionów kwadratowych łokci. Podług tego można z łatwością obliczyć, ileby lat tegoż dziennika trzeba, aby nim cały księżyc oblepić. Ponieważ każdy numer dziennika »*Times*« będąc obszerniéj drukowanym i na małe stronice rozłożonym, całyby tom w osemce o 300 stronach uczynił, zatém można powiedzieć, iż ten dziennik co roku biblijotekę 6 millijonów osemkowych tomów wydaje. Ztąd można sobie wystawić, jaką ogromną liczbę współpracowników i korrespondentów ta gazeta mieć musi. Do samego parlamentu wysyła ona 22 reporterów czyli skoropisów, którzy miane w izbach mowy stenografują, i co półgodziny a czasem i częściéj się odmieniają, aby tak spisane doniesienia natychmiast do druku przygotować. Ci reporterowie są zwykle światli ludzie, którzy najdokładniejszą znajomość stosunków swego kraju mieć muszą, aby umieć rozróżnić w okamgnieniu, jakie przedmioty są ważne lub nieważne. Z ich grona wyszedł już nie jeden znakomity pisarz, jak naprzykład w ostatnich czasach Dickens (Boz). Płaca każdego wynosi 200 złp. na tydzień. Oprócz zwyczajnych reporterów ma tenże dziennik jeszcze jednego nadzwyczajnego, obecnie pewnego adwokata, który niegdyś był sam członkiem parlamentu. Ten pobiera roczną płacę 20.000 zł. p. musi być obecny na wszystkich posiedzeniach parlamentu od początku do końca, i ułożyć na miejscu krótki przegląd obrad każdego posiedzenia. Z jego kolana, na którém zwykle te artykuły pisuje, idą one natychmiast pod prasę.

Lesgowie. Bijograf księcia Paskiewicza, Tolstoj, opowiada następujące zdarzenie: Dwudziestu Czerkiesów z plemienia lesgickiego, wyszło z gór na nizinę, przepłynęło dwie rzéki i przedarło się aż do stolicy rossyjskich zakaukazkich prowincyj, Tiflis. Gdyby nie byli rzeczywiście téj wyprawy odbyli, wypadałoby ją uważać prawie za niepodobieństwo. Wieczorem tedy dostawszy się w okolicę miasta Tiflis, ukryli swoje konie, przekradli się zmrokiem przez forpoczty obozującego pułku dragonów aż pod miasto i stanęli przed koszarami napełnionemi wojskiem. W okamgnieniu zamordowali ustawione u wchodu straże i wpadli do sypialnych sal żołniérzy, gdzie pogasiwszy światło, okropną rzeź rozpoczęli. Po niejakim czasie dopiero nadeszła pomoc, która otoczyła zapamiętałych. Gdy Lesgowie ujrzeli, iż niepodobna się przebić, woleli sobie sami raczéj śmierć zadać, niż się w ręce nienawidzonych wrogów oddać! Tak więc nie pojmali Rossyjanie ani jednego żywcem, i dotąd nawet nie wiedzą, co ich właściwie do téj zapamiętałéj wyprawy spowodowało. I ci-to Lesgowie uchodzą za najmniéj śmiałych ze wszystkich mieszkańców gór kaukazkich!!

Kara i cześć. Dnia 21. sierpnia odbyła się w Edymburgu pamiętna uroczystość. Przed 45 laty zostali Szkoci Muio, Palmer, Skirving, Gerrald i Margarot

przez tamtejszy sąd na wieczną skazani deportacyję, w której też pomiędzy złoczyńcami pomarli. Całą ich zbrodnią było, iż wystąpili z wykryciem wad ustaw kraju, które później za istotne wady uznano a w roku 1832. wyrokiem parlamentu zniesiono. Pomienionego więc dnia położono w Edymburgu kamień węgielny do pomnika dla tych męczenników wolności. Pierwszą myśl do teraźniejszego uczczenia tych mężów podał pan Hume, jako członek szkockiego hrabstwa Montrose, i miał też dobitną mowę na placu, gdzie ma być pomnik wystawiony. Przy uczcie która tę uroczystość zakończyła, zajmował pierwsze miejsce sir J. Craig, niegdyś twarzysz owych mężów w ich walce o reformę; kilku ich krewnych było też obecnych przy tej uroczystości.

Nowy rodzaj widowiska. W Baden-Baden był tego roku pewien Francuz, który pokazywał za pieniędze kobietę jasnowidzącą. Zgaduje ona wszystkie myśli i wykonywa najdziwniejsze rzeczy. Tak naprzykład, gra z mocno zasłonionémi oczyma w *écarté*, i t. d. Robić jednak podobną słabość przedmiotem publicznego widowiska, jest to niegodziwością, na którę nie rozumiemy jak ów francuzki spekulant mógł otrzymać pozwolenie. W samej Francyi, gdzie takie ohydne przedstawienia w ostatnich czasach nadzwyczaj górę wzięły, miano je już zakazać; jakoż spodziewamy się że one i w Niemczech cierpiane dłużéj nie będą. Umiejętność nie odnosi ztąd wcale żadnej korzyści a wystawienie tak głębokiej i niezbadanej tajemnicy natury na widok ciekawego próżniactwa w celu zarobienia pieniędzy, jest rzeczą, która nie powinna być pozwoloną.

Piérwszy balon w Konstantynopolu. Dnia 8. sierpnia, wyprawił pan Comaschi, aeronauta, znajdujący się od niejakiego czasu w tej stolicy, nieznane tu jeszcze widowisko napowietrznej żeglugi. Podróż jego, w którą się w obecności sułtana wzniósł z doliny Haidar-pasza w Azyi, powiodła się jak najpomyślniej. Koszta zastąpił sam cesarz. Pięknie ugrupowane namioty dygnitarzów i najwyższych urzędników porty, jako też zagranicznych ambasadorów, parowe statki i barki okrywające cały bosfor, wreszcie niezliczona moc ludu, który zgromadzony w różnobarwistych strojach, zachwycał się popisami umyslnie nato przez sułtana wezwanych kuglarzy i linoskoków — wszystko to przedstawiało razem nader malowniczy widok.

»Niéma szczęśliwszego miasta nad Paryż!« woła Alfons Karr w swoich Osach. »Ulice jego płyną winem i mlékiem — Paryż jest miastem cudów, a jego mieszkańcy same czarodzieje! Przedawcy korzeni przemieniają tu krochmal w pieprz, a w sól piaskowiec; handlarze win przemieniają wodę w wino, a mléczarki robią z niéj smaczną śmietankę. Słowem niéma żadnego cudu któregoby przemyślni Paryżanie nie powtórzyli. Piekarze pieką z cztéru funtów ciasta trzy dwu-funtowe bochenki; inny znowu czarnoksiężnik sieje, uprawia i zbiéra różne gatunki jarmużu, aby z tego wyrabiał — tytoń; drugi trafikant tytuniowy miesza swoję tabakę z tłuczonem śkłem. Szczęście że to spostrzegł i doniół zwierzchności jego zawistny sąsiad, który swoją tabakę z dębowéj kory i arszeniku maceruje!

Rzadka bezinteresowność. W Anglii, gdzie większa część zwierzchniczych urzędów bywa wolnym wyborem osadzaną, nakłada się na każdego, coby podobnego miejsca nie przyjął, karę pieniężną. Z tego powodu wydarzył się niedawno w Londynie rzadki wypadek nadzwyczajnéj bezinteresowności i zupełnego zaparcia się wszelkiej ambicyi. Pan Th. Tegg, księgarz, złożył karę pieniężną 400 funtów szterlingów (16.000 zł. pol.) ponieważ niechciał przyjąć ofiarowanej mu znacznej bardzo posady szeryfa. Stopień szeryfa jest w wielkiém poważaniu w Anglii i ma niemałe wpływy; szeryf jest prawą ręką wykonawczéj władzy. Jedna tylko nieprzyjemność łączy się z urzędowaniem szeryfa: jeżeli się nikt nie znajdzie ktoby chciał powiesić winowajcę skazanego na śmierć, natenczas musi sam szeryf to uczynić. Przytém są dochody szeryfa bardzo znaczne. Jednak p. Tegg zapłacił z radością swoją karę, a gdy się dowiedział iż złożonych przez niego 400 funtów użyto na uposażenie nowéj szkoły, dołożył jeszcze z własnego popędu 100 funtów do pomienionéj sumy, aby ta z jego okoliczności powstać mająca szkoła, tem godniéj odpowiadała swemu założycielowi. Oprócz tego obdarzył ją jeszcze doborną biblijoteką.

Śrebra na dworze angielskim. Dzienniki angielskie nadmieniały często o pysznem widowisku, jakie przy niezwykle uroczystych festynach na dworze angielskim przedstawiają śrebra koronne *(plate)*. Ten kosztowny zbiór najrozmaitszych serwisów obiadowych, herbacianych, do wystawy i ubrania stołów służących, został powiększony do tego stopnia, po częsi przepychem Jerzego IV. i hojnością parlamentu, po części téż skarbami, jakie lądowe i angielskie wojska pozdobywały w wojnach z Hiszpaniją, Francyją, najbardziéj zaś w pięćdziesięcioletnich bojach z książętami wschodnich Indyjów. Bogactwo tego zbioru jest tak niesłychanie wielkie, iż londyński dziennik »Sun« wartość jego niedawno na 2 millijony funtów szterlingów, to jest około 80 millijonów zł. pol. oszacował. Znajdujący się w tym zbiorze złoty serwis Jerzego IV. ze wszystkiémi rekwizytami stołowémi, jest sam na 130 osób urządzony.

Przytomność umysłu. Pewien młody dramatyk urządził partyję diabełka w mieszkaniu swego nieobecnego ojca, który był nadmiar surowym. Nagle zabrzmiał dzwonek z ulicy. »Mój ojciec idzie!« krzyknął przerażony poeta, rzucając karty pod stoł. »Cóż teraz będziemy robić?« — »Weź prędko twoję trajedyję do rąk,« odpowiedział jeden z przyjaciół — »a udamy że śpiémy.«

Nowy zakład kredytowy. W Anglii powstał teraz nowy zupełnie zakład, który zdaje się być bardzo na czasie; jestto dom zastawniczy, gdzie w zastaw nie żądają niczego więcéj oprócz słowa honoru, na które można jakiegokolwiek kapitału na mierny procent dostać. Każdy pożyczający musi się tylko wywieść świadectwem że jeszcze honor posiada. Czas okaże czy przedsiębierca tego domu zastawniczego »na słowo honoru« będzie mógł się utrzymać.

Błogosławieństwo. Pewien podróżujący Anglik zdybał w Marokko człowieka pomieszanych zmysłów który uchodził za świętego, i rzucił mu jałmużnę. Zato chwycił go święty za kołniérz i w twarz mu plunął. Gdy się Anglik chciał obetrzéć, zawołał przytomny temu Arab: »Co czynisz? To jest błogosławieństwem dla ciebie!«

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.